

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odosłanie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2½ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykle 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fenig. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 2½ m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, ZGODA № 1.

FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 17 z dnia 28 kwietnia 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezł. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszotik Nr. 48.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Wydawnictwo Tow. Akc.

S. ORGELBRANDA S-ów

Encyklopedia Handlowa

2 tomy

15028

Opr. rb. 20.

Na horyzontach pokojowych.

(Neopacyfiści).

Ledwo wojna się rozpoczęła, już uczeni poczęli układać system stosunków powojennych. Nacyonalisci i imperyaliści różnych mocarstw widzieli już na horyzoncie pokojowym świat hegemonii, która, dając stanowczą przewagę jednemu z mocarstw, da zarazem światu jedną wolę i przez to uniemożliwi na przyszłość wojnę. Tak już było raz na świecie, gdy Rzym, wzamian za rozbój i grabież, roznoszone do krańców znanej wówczas ziemi, darzył ludy podbite pokojem. Słynna *Pax Romana*. Schmoller w Niemczech, chamberlandyści w Anglii dawali najplastyczniejszy wyraz tym nadziejom.

Wojna te nadzieje rozproszyła. Dowiodła ona, że świat nowożytny zawsze odnajdzie w sobie dość energii, mocy i ofiary, aby strząsnąć z siebie zły sen, jakim już marzyło wielu, od perskich despotów poczynsz, a idąc poprzez wielkiego macedończyka i paru cesarzów świętego imperium, aż do genialnego korsykanina. Czas wprawdzie zatrzymał się nad marzeniem rzymskim i później nad uludą Karola Wielkiego. Ale z tym większym trzaskiem runęły te powszechne gmachy, na tem mniejsze połamały się okruchy.

Pod inne przeto wiatry musi pacyfizm podstawiać swoje żagle.

Nie pod uczuciowe jednak.

Pacyfizm dawny, ożywiany samym tylko humanitaryzmem, czy to płynął on z głębokich spekulacji

Kanta, czy też z oburzeń szlacheckich Suttnerowej, odżył swój czas. Okazało się, że musi on znaleźć dla siebie grunt pozytywniejszy, jeżeli chce, aby świat się z nim rachował, aby prawo międzynarodowe czyniło mu honory.

I w pozytywnym też kierunku począł się orientować.

Pod tym właśnie znakiem powstała nowa myśl, nowy kierunek: neopacyfizm.

I zwyciężył on już — na terenie nagród Nobla. Głęboki niemiecki pisarz, Alfred Fried, został laureatem za prace neopacyfistyczne. Wprawdzie i on nie wyrzeka się dawnego ideału pacyfistycznego: *pokój wieczny i powszechny*. Ale zbliżenie się do niego uważa za możliwe dopiero na wyższym stopniu organizacji międzypaństwowej, aniżeli ten, jaki obecnie osiągnęła Europa.

Stara część świata choruje ciągle jeszcze na *anarchię międzypaństwową*. Ale w Ameryce jest już lepiej. (W każdym razie za wyjątkiem Meksyku i zwrotnikowych republik). Inicyatywa Monroe'go zapobiegła temu; państwa amerykańskie rozwijały się w pokoju zewnętrznym i pokojowymi sposobami nauczyły się wyrównywać swoje pretensye.

Fried, Schuecking i inni neopacyfiści nie są antimilitarystami. Haseł powszechnego rozbrojenia nie malują na swych sztandarach.

— „Organizujemy lepszy ustrój

świata — mówią”. Na czem ta ulepszona organizacja ma polegać? Nie na wszechpaństwowości Europy. Nie na całkowaniu się państw drogą federacji.

— *Konfederacja!*

Oto jest hasło pozytywistów pacyfistycznych. „*Zwischenstaatliche Organisation*”. A to jest zgola co innego, aniżeli *Weltföderation*. Podstawą federacji jest zawsze siła, walka, współzawodnictwo. Możemy obserwować to nawet w tak pokojowym duchem przenikniętych federacjach, jak szwajcarska, gdzie jednak berneńczycy nie wyjąłowili się z dawnego ducha zabobrozości i gdzie walka centralistów z lokalistami trwa dość żywa.

Tymczasem Konfederacja, wyższa forma organizacji międzypaństwowej, opiera się na interesach wspólnych równouprawnionych państw, na gruncie współdziałania, wzajemnej ustepliwości, jeżeli już nie wzajemnej pomocy. I to jest fundament dla pokoju. Jest to droga nie do „Stanów Zjednoczonych Europy” ale do „Organizacji państw europejskich”, a z czasem i do „Organizacji państw świata”. Z tych idei wypływa potęga prawa międzynarodowego, które jest dość powszechnie dziś lekceważone w opinii publicznej. Jednak ono tylko może dać sprawiedliwości, a przynajmniej pokojowym dążeniom ludzi podstawę do porozumienia, ono bowiem jedynie jest w stanie sięgnąć swemi korzeniami w ten grunt realności stosunków ludzkich, jaki nazywa się prawem, ono tylko hamulec jest w stanie nałożyć siłę w jej przyrodzonym dążeniu do gwałtu. Przyszłość pacyfizmu leży przeto w rozwoju prawa międzynarodowego.

Uczony polski prawnik, dr. Emil Rappaport, mniema, że te teorie neopacyfistów dopełnić mogą „wielkopomnej reformy indywidualistycznej końca 18-go st.”. „Tam zadeklowano prawa jednostki: człowieka i



Fot. A. Mastowski.

Włodz. Tetmajer. „Fryz“.

obywatela, tu określono by trwale zasady „praw państw i społeczeństw narodowych“. Sądźmy, że w teoryach neopacyfizmu wcale się na to nie zanosi. Fried i inni neopokojowcy żądają rozwoju prawa międzynarodowego, ale nie jego przekształcenia; otóż to prawo nosi nazwę fałszywą, spadek z czasów, kiedy nie rozróżniano między państwem a narodem. Jest ono dopiero *międzypaństwowem*. I w tym kierunku popychają je neopacyfiści. Wiek 19-ty rozwijał to prawo niby-międzynarodowe, płacząc stosunki narodowe do niemożliwości. Uczynił on np. jednostkę prawną, indywidualność międzynarodowego prawa z Belgii, która nigdy nie była narodem, i jako takie indywidualność traktował Austrię, Rosję, Turcję, które są w ten czy inny sposób ukształtowaną federacją narodów. Jeszcze niedawno mieliśmy próbę utworzenia nowego narodu: albańskiego. Są jeszcze narody, które tworzą dwa indywidualności na gruncie międzynarodowego prawa: Czarnogóra i Serbia. I nie bez reszty.

Z drugiej strony nie wszystko jest narodem, co stanowi masę nieraz bardzo charakterystycznie zróżnicowaną. Żydzi, tatarzy, Łotysze nie stanowią jeszcze jednostki dojrzalej do prawdziwego prawa międzynarodowego, a jednak już są groźbą dla prawa międzypaństwowego.

Życie jest bogatsze od nauki; rozwija się ono bujnie i kipi pod i nad temi płaszczyznami, w których neopacyfiści poszukują swoich rozwiązań. Neopacyfiści są mniej naiwni, z pewnością, od antimilitarystów. Ale nie wykluczają oni wcale tego momentu, w którym zabiora kiedyś głos — nowo-neopacyfiści.

Albin Pawłowski.

MALARSTWO KRAKOWSKIE.

(WŁODZIMIERZ TETMAJER).

Włodzimierz Tetmajer, znany artysta malarz krakowski, od dłuższego czasu bawi w Warszawie. W szkole Sztuk Pięknych na Powiślu otworzył swoją pracownię, gdzie cały szereg dzieł przygotowuje na najbliższe wystawy.

Twórczość malarska Włodzimierza Tetmajera jest związana tak organicznie z ziemią krakowską, jak u żadnego ze współczesnych artystów polskich.



Włodzimierz Tetmajer.

Stąd, z tego związku z ziemią płynie cała wyjątkowa swoboda i spontaniczność wysiłku twórczego Tetmajera. Swoboda, ta zakrawająca nieraz na „nonszalantycję“, jest charakterystyczną cechą produkcji tego popularnego artysty i ona to nadaje jego dziełom wdzięk rzeczy tworzonych, zdawałoby się nieraz, bez wysiłku, naturalnie, tak jak wyrastają rośliny i kwiaty.

Oryginalność prac W. Tetmajera jest czemś istotnem, czemś, czego się nie dyskutuje, co „rozumie się“ samo przez się. Ten rzadki i cenny przywilej oryginalności, o który tylu współczesnych ubiega się z wielkim nieraz nakładem pracy i zabiegów, jest u Tetmajera darem natury, wzmocnionym przez dobrze dostosowane i harmonijne życie.

Wieś polska, a zwłaszcza podkrakowska weszła do sztuki polskiej

dość już dawno, stała się dla niej źródłem zawsze świeżej i zdrowej inspiracji, z którego całe pokolenia artystów czerpać będą mogły motywy i elementy istotnego piękna.

W. Tetmajer wzięł się w wieś polską, jak mało kto w naszym malarstwie, i żył z nią tak, jak zraść się z pnem drzewa owocowego szczęśliwie dobrany szcep.

Oryginalność Tetmajera i spontaniczność jego malarskiego wysiłku uderzają dopiero poza granicami Krakowa. Ocenia się je dopiero z właściwego punktu widzenia, gdy się ogląda jego obrazy w Warszawie, lub gdy artysta pracuje jeszcze nad niemi w swej pracowni, w gmachu szkoły sztuk pięknych, na Tamce.

* * *

Na ścianach pracowni Tetmajera na Tamce, w pięknym gmachu szkoły im. p. Kierbedziowej, zawieszono są cztery duże kartony dekoracyjne, którymi artysta zdobił ściany jednej z górnych sal popularnego krakowskiego zakładu Hawelki w Krakowie. Jest tam scena żywca przeniesiona z „Pani Twardowskiej“ A. Mickiewicza, sceny obyczajowe z końca naszego XVIII wieku, bójka szlachecka po libacji, wyobrażona na tle typowej dekoracyjnej piwnicy...

Kartony te, z których dwie reprodukcje podajemy, jako ilustracje



Fot. A. Masłowski.

Włodzimierz Tetmajer, „Twardowski”.



Fot. A. Masłowski.

Włodzimierz Tetmajer, „Grób w Karpatach”.

do niniejszego artykułu, mają te same cechy produkcji Tetmajera, co inne jego prace, gdzie tematem jest wyłącznie „*bajecznie kolorowy*” chłop podkrakowski.

Umiął w nich artysta połączyć szczęśliwie w jedną dekoracyjną całość: dobitną charakterystykę typów, ruch figur i t. p. — z rytmem kompozycji dekoracyjnej, której głównym celem było ozdobienie wyznaczonej sobie przestrzeni ścian w lokalu.

Na sztalugach stoi szereg obrazów. Na jednym z nich widzimy znów „Pana Twardowskiego” w momencie, gdy w typowym „wnętrze” kapitalnie scharakteryzowanej podkrakowskiej karczmy nachodzi go w chwili „zabawy” imci dyabeł, prezentując mu znany cyrograf. Urządzenie całej sceneryj w tym obrazie, charakterystyka figur, ruch i prężenie na widok nagle pojawiającego się nieproszonego gościa — wszystko to uzyskane środkami prostymi, pozornie stworzone bez wysiłku, daje całość wyjątkowo udatną jako wyraz ekspresji malarskiej.

Tuż obok widzimy scenę „świecenia ziela”. Tetmajer czuje znakomicie i umie przenosić na płótno z całą świeżością wrażenia malarski wdzięk tych prostych, pełnych uroku obchodów wiejskich, w których natura, piękno pejzażu polskiego rywalizują i przeciągają się w kolorowości z różnorodnością typów, figur i kostymów u krakowskiego chłopca.

Dwa inne obrazy przedstawiają „haracz” malarski, zapłacony przez artystę t. zw. „aktualności”.

Oto dwie sceny dotyczące obecnej wojny: Na jednej pejzaż z okolic podhalańskich, w której za główny motyw posłużyło zniszczenie, obraz śladów odbytej walki. Poorany nią pejzaż z garstką ledwo widocznych, rozpaczających chłopów oraz dwie symboliczne, oplakujące to zniszczenie figury, przesuwające się przez tę scenerję, jak w „Wojnie” Grottgera.

W drugim obrazie, który uważam za jedno z najlepszych dzieł W. Tetmajera, mamy przed sobą widok dzisiejszej wsi polskiej, taki, jaki ona przedstawiała po pamiętnym odwróceniu wojsk rosyjskich z Galicji w roku 1915—1916.

Jest to „Powrót” w zniszczone sadyby ludzkie, pełne anonimowych krzyżów wśród ruin, do których z powrotem wracają ludzie wygnani walką. Jest to proste, wyrażone z taktem artystycznym, bez udanego patosu i teatralności.

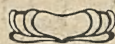
Obraz ten, odczuty i zrealizowany wyjątkowo szczęśliwie, jest szcze-

gólnie piękny w kolorze, utrzymany w barwach jasnych, wesołych, prawie jakby dla podkreślenia kontrastu między beztroską naturą a tragiczną dolą ludzi.

Gdzieindziej znów przedstawia Tetmajer scenę hałaśliwego wyjazdu podpiętych „druzbów”, scenę z jakiegoś wesela, czy czegoś podobnego. Plastyczny wyraz tej zawadyackiej fantazyj, z jaką odbywa się ten wyjazd w obrazie, jest oryginalny, pełen życia i ruchu, doskonale obserwowanego. Znajomość naszego chłopca wykazuje Tetmajer taką w swych obrazach, że przykładów równej swobody, z jaką artysta ten realizuje sceny z życia wsi naszej, trzeba by szukać dopiero w powieści Wł. Reymonta.

Sztuka Tetmajera jest żywa. Wiąże się ona z życiem, z egzystencją współczesnej wsi polskiej, realizuje całe mnóstwo objawów tego życia, które w dziełach tego artysty znalazły oryginalny wyraz i niejako drugie, wtórne życie. W niestannym kołowaniu zmian wiele z tego, co Tetmajer malował i maluje, ulegnie przemianom, zniknie lub przetworzy się, ale żyć będzie mimo to w jego dziełach, dzięki nim. W tym właśnie, w utrwaleniu życia wsi polskiej przez dzieła sztuki tkwi zasługa obywatelska tego pięknego malarskiego talentu.

W. M.



Warszawa bez tramwajów.

Warszawa bez tramwajów wygląda dość oryginalnie: chodniki przepełnione, a wzdłuż ulic tylko gdzieś tam sunie jakiś wehikuł. Już kiedyś przeżyliśmy podobne wzruszenia. Ale wtedy sprawcą złego była polityka. I dlatego nikt tak nie zniechęcał polityki, jak ludzie interesu. Z pod Wolskich rogatek dostać się na Pragę lub Mokotów było rzeczą fantastyczną, graniczyło z urzędzeniem wyprawy. A czas — to pieniądz, nie mówiąc o zdrowiu, które nie cieszy się zbytnią wartością w czasie obecnym. Do wszystkiego można się jednak przyzwyczaić! A jeszcze gdy sprawcą złego jest siła wyższa, nieprzewidziana.

Tramwaje nie chodzą przecież wskutek eksplozji kotła. Znużył się, podobno, nieborak i pękł z wściekłości, że zbyt długo trwa już wojna. Przyzwyczaił się już do burżuazyjnego spokoju, dobrego odżywiania, snu statecznego, zatył w dobrobycie, aż tu wiadomości coraz bardziej niepokojące: „tato nie wraca i nie wróci, gdyż rewolucja w Rosji”. Rozrosła się w nim tęsknota i rozsądziła pierś z rozpacz.

Nikt nie odczuł bardziej bólu pękniętego kotła, niż moja Marysia. Rzekła

rezolutnie zaraz pierwszego dnia po katastrofie: „Kocioł pękł, tramwaje stoją, dryndziarz Błażek zrobi dobre interesy — za miesiąc więc jestem panią Błażową i dziękuję za odżywianie mnie peluszką”.

Dyplomatyczna moja ciocia uspokaja Marysię:

— Ależ Marysiu, dziś wszyscy jedzą peluszkę.

— Na co Marysia z ferworem odparła: Tego by i sam kocioł tramwajowy nie strawił.

Dalsza rozmowa stała się niemożliwą.

Gdy wyszedłem na ulicę i chciałem pojechać dorożką do drukarni — zawiodłem się w swoich pragnieniach. Nie znalazłem na moim rogu ani jednej dorożki. Ludziłem się nadzieją, że może jeszcze znajdę idąc, bo spieszyło mi się niepomiernie. Dopiero, jak wychodziłem z drukarni, zobaczyłem oryginalne bryczki, stare landary, przedwieczne dyliżansy, obszarpane omnibusy wyczekujące przy kolumnie Zygmunta na pasażerów na Pragę. Obrót szedł rażno.

Wozy strażackie zaroiły się też od meloników, a nawet kapeluszy damskich. Ta niecodzienna straż pożarnicza — to lekarze, miejscy, szpitalni i sanitarni, którym miasto ułatwia w ten sposób lokomocję. Najzabawniejsze jednak epizody zdarzają się wieczorem, gdy wychodzimy z teatru.

Stoi sobie dryndziarz rozmarzony, čmi cygaro obrzynie, hawańskie. Biegna panowie, by złapać dorożkę i odwieźć panie do domu. Dryndziarz stoi pod teatrem solo. Narzuca się na niego na raz aż trzech, czterech panów.

— Wolny.

— A już ci, że wolny!

Co odważniejszy pan wskakuje do dorożki.

Pan Walenty flegmatycznie rozkazuje:

— Proszę wysiąść. U mnie porządek być musi. Za ogonkiem trza stać.

— Ja przyszedłem pierwszy do dorożki...

— Ale nie wiadomo, ile pan da za kursik?

Wtrąca się inny kandydat na pasażera:

„Na Erywańską dostaniecie rubla”.

Dorożkarz dalej z flegmą:

— A gdzie pana zawieźć?

— Na Sienną...

— Ile pan da?

— Rubla, rad nie rad odpowiada.

— To się nie da zrobić. Kto da więcej?...

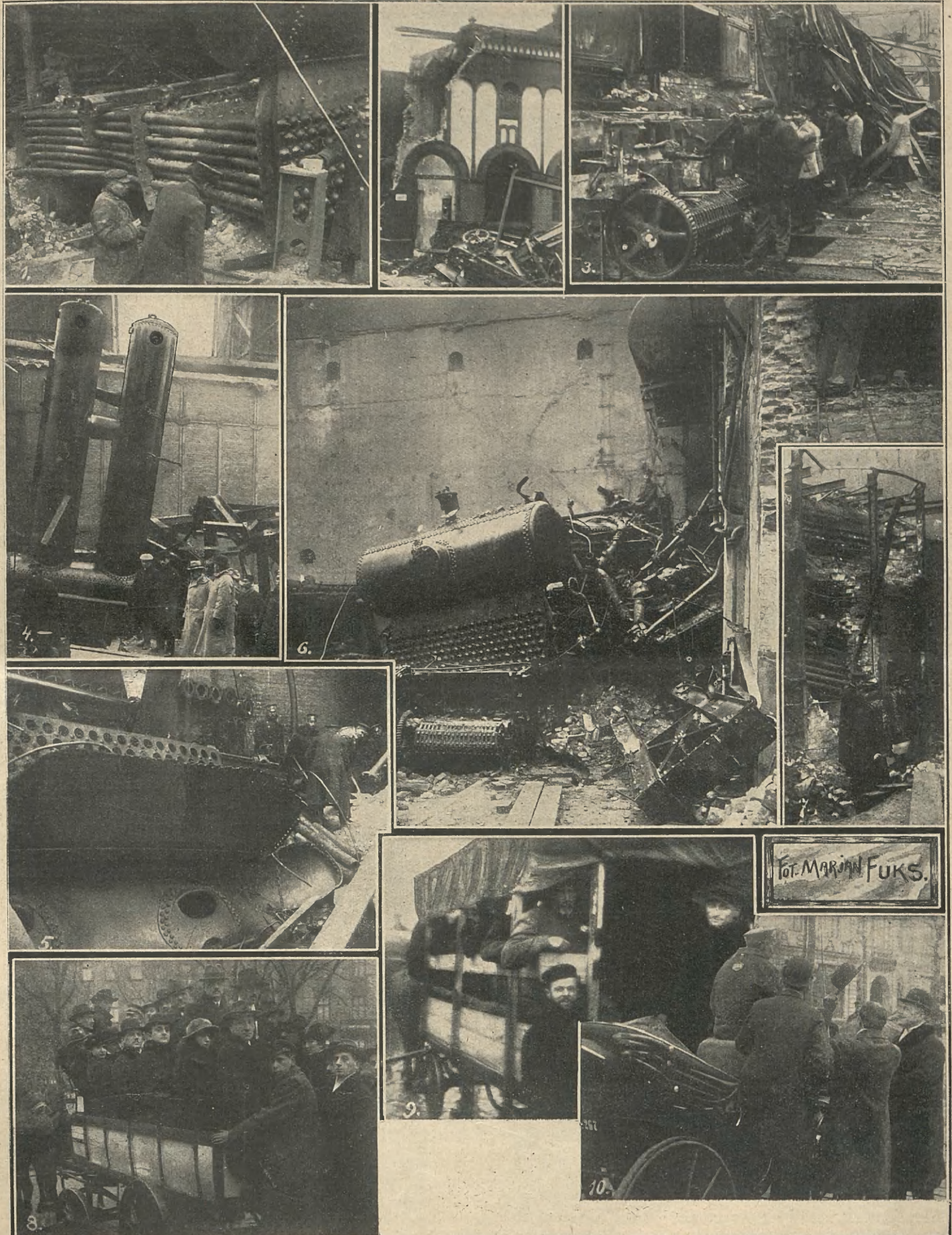
Inny pan-filut częstuje dryndziarza, palącego cygaro, papierosem. Korzysta z okazji, że domniemani pasażerowie klócą się zawzięcie.

— Jedźcie tatuniu, jedźcie. Nowy-Świat.

— To mi nie po drodze. Ja szukam pasażera na Wolę. Jadę już do domu. Kuń jest zmęczony.

Co robić z dryndziarzem?! Wyrwa się przekleństwo na usta mimowolnie: — A żeby ci kocioł pękł!

Firlej.



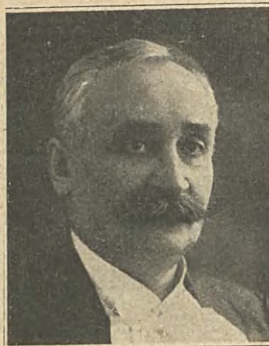
1) Rozerwana ściana kotła. 2) Zrujnowany budynek kotłowni. 3) Szybry. 4) Leżące kotły stanęły pionowo. 5) Winowajca katastrofy — rozerwany kocioł. 6) Rumowiska. 7) Kondygnacje. 8, 9 i 10) Warszawa bez tramwajów: Naczelnik lekarze szpitali miejskich są rozwożeni brekiem strażackim. — Platformy na placu Grzybowskim. — Dorożkarz bez ceny. Stoją pp.: inż. Józef Zaporski (naczelnik warsztatów), inż. Kühn (inspektor elektrowni), inż. Lenartowicz (dyrektor tramwajów) i inż. Auerbach.



Kobiety profesorzy: Dr. WANDA SZCZAWIŃSKA, wykłada na Wyższych Kursach Naukowych higienę.



JULIA DICKSTEINÓWNA, prof. literatury włoskiej na Kursach Naukowych. W semestrze obecnym wykłada: „Od Dantego do Giordana Bruno”.



ALEKSANDER MILKNER, redaktor „Neue Lodzer Zeitung”, święcił jubileusz 25-lecia pracy zawodowej. Stał na placówce porozumienia polsko-niemieckiego w Łodzi.

częście powstał też poemat dramatyczny „Uczta Herodyady”.

Zakochana w Johananie Salome zazdrośna jest o swoją służebnicę. Sądzi, że Johanana przełożył ją nad córę królewską. Pchnie ją Salome sztyletem, zgładzi z oblicza ziemi, gdyż nie może jej darować, że śmiała rywalizować z nią, córą królewską. Czy przybliży ją to do celu pragnień? Johanana dalej kazać będzie o wyrocznej godzinie dla całej Judei. Pochwycić go rozkaże Herod na wniosek synhedryonu, by w ten sposób ukarać proroka za domniemaną winę z zabitym służebnicą Salome. Starzejący się Antypater - Herod przytem sam pała nieodwzajemnionem uczuciem do Salome. Znudziła mu się już majestatyczna królowa wdowa po bracie, małżonka jego. Zły demon odtrąconej kobiety zawiąże krwawą intrygę. Królowa namówi Salome, by zażądała głowy Johanana od Heroda. Chwila sposobna zjawi się niebawem. Zjada do Jeruzalem goście rzymscy, Herod przyjmie ich uczta, kwiatami i winem. Wtedy to uprosi Salome, by dla gości zatańczyła swój zawrotny, oszalamiający taniec. Salome wspomni złe poszepty królowej i zażąda głowy Johanana. Czegoż się nie robi dla kochanej kobiety? Czego się nie czyni dla miłych gości?

Na złotej misie przyniosą głowę proroka. Zabrzmi formiga i upojona krwią Salome puści się w tan szalony. Kaspro-wicz podania historycznego nie zmienia: pogłębia tylko motywy i psychologizuje miłość Salome. Jest ona u Kaspro-wicza królową judzką, błękitną gangreną w dyademie snów o miłości, pięknie i słońcu. P. Bronisz, grająca Salome, nie dostała zupełnie tych elementów królewskich w kaprysie zakochanej i szalejącej z pragnienia i tęsknoty córki Herodyadowej. Znacznie lepiej powiodło się p. Rotter pokazać odtrąconą, starzejącą się monarchinię. Miała gest i najważniejszą, mówiła wiersz Kaspro-wiczowski logicznie, co należy specjalnie podkreślić, gdyż reszta artystów nie zawsze panowała nad dyalogiem, który sądzone im było prowadzić. Dodatnio też wyróżniła się stylowością odtworzenia postaci p. Bachner.

Z Opéry Warszawskiej.

Teatry warszawskie.



Marya Mokrzycka, znana śpiewaczka operowa, kreowała na scenie Teatru Wielkiego „Toskę”, „Mimi” i „Halke”. Krytyka i publiczność przyjmowała występy p. Mokrzyckiej owacyjnie.

TEATR POLSKI. „Uczta Herodyady”, poemat dramatyczny w 3 aktach Jana Kaspro-wicza.

Niemilknąca poprzez stulecia pieśń o Salome przemówiła znów z desek sceny Teatru Polskiego. Znów zatargała sercem ludzkim i rozpostarła nad człowiekiem ramiona litości i bólu. Tajemną zagadką jest miłość, brocząca w krwi, zapamiętała w uwielbieniu, zazdrośna o spojrzenie a prowadząca na śmierć, na zgubę wybrańca swego serca. Jan Kaspro-wicz w otchłanie te odważył się spojrzeć i wyniósł z głębin swoich pieśni-rapsod: Na wzgórzu śmierci. Równocześnie



Jan Kaspro-wicz.

Ze sceny i estrady.



M. ORLEŃSKA, jako „księżna czardaszką”, zyskała sobie powszechny poklask publiczności i uznanie krytyki.



KATARZYNA JACYŃSKA, świetna pianistka, grała na koncercie własnym w sali Hermana i Grossmana, zdobywając sobie ogólne uznanie.



HENRYKA KRAMERÓWNA, młoda śpiewaczka, uczennica M. Dobrowolskiej, wystąpiła z wybitnym powodzeniem w „Królowej Kinematografu”.



M. MAKOWIECKA, której utwory literackie i muzyczne, wykonane na koncercie d. 15 b. m., świadczą o rozwoju talentu młodej kompozytorki.



Komenda 2-go p. p. wojsk polskich na święconem w Zambrowie.



Święcone w 9 komp. 2 p. p. wojsk pol. stacyonowanej w Zambrowie.

TEATR MAŁY. „Aszantka“, komedia w 3 aktach Włodzimierza Perzyńskiego.

P. Włodzimierz Perzyński, dowcipny felietonista, powieściopisarz i dramaturg, miał możność przekonać się z desek Teatru Małego, że świetny jego utwór teatralny p. t. „Aszantka“ nie stracił nic ze swej barwy i wdzięku, choć dziesięć lat temu został napisany. Jest to, jak wiadomo, notatka na marginesie

dziejów zwykłych w naszych stosunkach socyalnych: „dziewica zjada szlachcica — a szlachcic później idzie do niej na utrzymanie“. Bohater Perzyńskiego był bądź co bądź idealistą: kropnął sobie w łeb, nie mógł znieść upodlenia. Jest on jednak postacią drugorzędną. Perzyńskiemu chodziło też o pokazanie, jak panna stróżowna przedzierzga się z biednej szwaczki w pierwszorzędną kokotę. Obserwacye Perzyńskiego są znakomite.

Dodać przytem trzeba, że kokotę ową, Aszantkę gra p. Mary Mrozińska. W jej interpretacyi postać ta żyje wszystkimi fibrami duszy i narzuca na widza czar talentu, jakim po mistrzowsku już dziś rozporządza p. Mrozińska. Szlachcica bardzo dobrze grał p. Rąkowski. Franka, kelnera z Florencyi, p. Sarnecki, dając postaci trochę za bladą. Wystawa i reżyserya, jak na Teatr Mały, bardzo staranne.

Wystawa w Salonie Sztuki Abe Gutnajera.

Zgodnie z zapowiedzią 9 kwietnia o 12 w p. otwarto zbiorową wystawę art. mal. Wojciecha Kossaka i Jul. Fałata w salonie sztuki p. Abe Gutnajera (Świętokrzyska 35). Na czołowe miejsce wysunąć przedewszystkiem należy salę główną, zawierającą ekspozycyę znanego batalisty Wojciecha Kossaka z jego bajecznym „Waryantem z pod Rokitnej“ obok również prawie że żywych, aktualnie wojennych scen w postaci „Poczty polowej“, „Ułana i pielęgniarzki“, „Parlamentarza“ i innych. W sąsiedniej sali przeważają obrazy pejzażowe, przedstawiające tematy Bystrej, cudnie uwydatniające się podczas zimowych miesięcy i przelane na płótno mistrzowską ręką Juliana Fałata. W sąsiedztwie z Fałatem ślicznie harmonizują dzieła Wyczółkowskiego, z których „Czarnystaw“ i „Kwiaty“ przykuwają oczy znawców i sprawiają niezatarte wrażenie. Powiększony lokal dał możność p. Abe Gutnajerowi poza dwiema, że tak powiem, atrakcyjnemi salami, przedstawić zwiedzającym jeszcze dodatkowe sale pełne obrazów pierwszorzędných polskich autorów, z których J. Malczewski zawsze wyśmienity dał, między innemi, „Cierniową drogę do sławy“ i „Pogrzeb



Wojciech Kossak. Waryant z pod Rokitnej.

artysty“, Mehofer (nadzwyczaj podobny portret artysty Kazimierza Kamińskiego), T. Ajdukiewicz (pysznych Beduinów), a zatem Axentowicz, Wierusz-Kowalski, także Tetmajer (zachwycający obraz Tetmajerowej i Rydlowej) oraz Al. Orłowski, Alchimowicz (Pochód na Sybir), Chełmoński, Siemiradzki, Czachór-

ski, Matejko (cykl akwarel do polichrom. Maryackiego) i wiele innych.

Samo urządzenie wystawy cechuje dobry smak, wytworny gust i znajomość sztuki w każdej dziedzinie. Pierwszego dnia zwiedziło wystawę bardzo dużo zaproszonych osób i niektóre z obrazów znalazły już nabywców. St. S.

TEATR LETNI „To się nie da zrobić”.
Krotochwila w 3 aktach I. Morniera.

P. Puymorand i p. Martorin uprawiają małżeński sport z przeszkodami. Jednych prowadzi do tego śmieszny kodcył testamentowy a drugich sama chęć sportu czy kultywowania miłości. Zdradzają się więc dla ocalenia miłości, zdradzają dla ubawienia widza w ciągu całych trzech aktów. Jeżeli się przytem doda, że zakochane panie grają p. Renard, p. Belina, oraz spiritus movens niewierności p. Bruczówna — to zrozumie my, czemu publiczność bawi się nawet taką farsą, jak „To się nie da zrobić”. Świetną służącą była p. Micińska. Plakała tak wzruszająco, że wyciskała łzy... śmiechu. Dobrym był też p. Grabowski. Wystawa staranna.

E. C.

Z żałobnej karty.



TEODOR WYZEWA, znany literat francuski, zmarł w Paryżu. (Patrz Romans i Powieść, str. 1).



KAROL ŁAGANOWSKI, znany dziennikarz warszawski, zmarł d. 17 kwietnia r. b.



LEONARD KOWALSKI, nestor fotografów warszawskich, zmarł dnia 21 kwietnia r. b.

Z teki karykatur „Świata”.



Ja chcę całować... całować... całować..

Żeton na rzecz Kwesty Majowej
Polskiej Macierzy Szkolnej.

(Według rysunku prof. Budzińskiego).



Posiadacz takiego żetonu ma wstęp wolny na wszystkie widowiska, odczyty, zabawy, i wystawy, urządzone przez komitet kwesty.

Odpowiedzi redakcyi.

P. Reinhertzównie. Nie odgaćta Pani 6 nazwisk.

Venus Mitońska. Omyliła się Pani aż 4 razy. Pisze się Szyllinzanka a nie Szyllingówna.

Rexowi. O celach wojny dyskutować nie wolno, artykułu więc pańskiego drukować nie możemy. Niech go Pan prześle stronom zainteresowanym.

P. Bronisławie Bolima. Wiersze Pańskie są szczerze i miłe. Trzeba jednak jeszcze nad formą pracować. Nie zamieścimy.

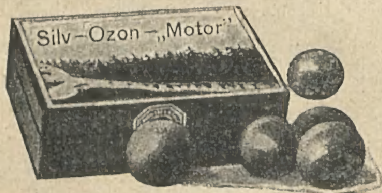
KAZIMIERZ TETMAJER
Notatki literackie

Cena rb. 1.20. 15040

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Silu — Oson — „Motor”

10200



w płynie i w postaci stałej w kapsułkach żelatynowych do przygotowania kąpieli balsamicznych.

Znakomity środek odżywczy w wyczerpaniu fizycznym i umysłowym

„ROBOROL”

Cena flakonu rb. 1 kop. 85.

poleca Apteka Tow. Akc. „Fr. Karpiński”
ul. Mazowiecka № 10.

10238

15005

JERZY ŻULAWSKI

ZWYCIĘZCA

POWIEŚĆ.

Cena rb. 2.—.

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

HENRYK SIENKIEWICZ

Na polu chwały

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW KRÓLA JANA SOBIESKIEGO

Wydanie zwyczajne, broszurowane

Rb. 1.80.

Wydanie ozdobne z ilustracjami St. Sawiczewskiego, brosz.

Rb. 5.00.

„ „ „ „

w oprawie Rb. 5.60.

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

15019

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 28 kwietnia 1917 roku

Nr 17.

Teodor de Wyzewa.

(Garstka wspomnień).

Wyobrażałem go sobie, jako wykwintnego paryżanina, radykalnego w swych estetycznych poglądach, ale gładkiego w swych towarzyskich formach i ścielącego sobie wygodną drogę życia przez salony do Akademii Francuskiej. Wiedziałem, że mu się los uśmiechał od początku jego kariery literackiej. Wcześniej stał się niby prorokiem wśród młodych. W kółku swoich francuskich przyjaciół ceniono go bardzo wysoko. Młody poeta Celestin Savarit zadziwił mnie raz, pod tym względem. Pogardzał on Żolą, lekcewał Daudetą, wyśmiewał Bourgeta. O innych gwiazdach francuskiego nieba mówił:

— Ça n'existe pas. (To nie istnieje).

Zapytałem go:

— Któż więc istnieje?

Wahającym głosem wyciągnął parę nazwisk, a pierwszym było:

— De Wyzewa...

Kiedy przybyłem do Paryża, Wyzewa pisywał już w „Revue des deux Mondes“ i w „Le Temps“, a więc w pismach, do których przystęp jest najtrudniejszy. Lemaitre powoływał się na jego opinie, gdy szło o bardzo skrajne szkoły literackie: o Mallarmé albo Rimbeaud. Jednak Wyzewa już roli czynnej w tym ruchu nie grał. Założony przez siebie dwutygodnik reformistyczny „Revue Independante“ oddał współnikowi, który go zgubił. Artykuły jego w „Revue des deux Mondes“ były nikielne, wyłącznie niemal informacyj-

ne; w „Le Temps“ wprost — zarobkowe.

Choć mieszkaliśmy o dwieście kroków jeden od drugiego, nie próbowałem się do niego zbliżyć. Powziąłem o nim niedobłą opinię. O ariwizm go posądzałem. Mniemałem, że dość mu, gdy dostał się do pism, gdzie rozgłos jest duży a zapłata suta, i że z apostoła przemienił się w rzemieślnika; polując zręcznie a cierpliwie na moment, w którym z rzemieślnika stanie się synekurzystą.

Miałem mu zresztą więcej jeszcze do zarzucenia. Jego stosunek do Polski i Polaków był mi niesympatyczny. Wyzewski nie był renegatem, o nie. Mówił po polsku doskonale. Nigdy się swego pochodzenia kresowego (urodził się w Żwańcu na Wołyniu), ani swych uczuć polskich nie zapierał. Ale narodowej solidarności w nim nie było. Ten informator o ruchu literatury światowej nie informował francuzów nigdy o literaturze polskiej. Ci, którzy usiłowali go wciągnąć do spraw polskich, choćby literackich, jak Stefan Krzywoszewski, A. Potocki, Woźnicki, znajdowali u niego dobrą wolę polską, niewątpliwie, ale zupełny brak elementarnych wiadomości o polskich sprawach.

— Nie można go było do niczego użyć — mówili mi o nim.

Ta jego obojętność wydawała mi się umyślną, *voulue*, leżącą w planach jego francuskiej kariery.

I pozostał mi obcym człowiekiem, choć przez lat coś pięć oddzielało nas tylko dwieście kroków.

*

*

*

Później jednak zbliżyłem się z nim i stanęliśmy nawet na stopie przyjaźni. Przekonałem się wtedy, do jakiego stopnia moje wyobrażenie o nim było mylne, a sąd mój krzywdzący.

Oto jak się to stało:

Wydawano po polsku jego powieść dawną, pamiętnik nawróconego młodzieńca „Valbert“. Zażądano odemnie przedmowy.

Powieść była bardzo dziwna: Valbert nawraca się, waleśając się od jednej prostytutki do drugiej. Ale głęboki idealizm, szczere przekonanie z ogromną siłą wiało na czytelnika. Moja przedmowa była rodzajem krytyki: zlekka przesunąłem się po erotycznych epizodach opowieści, po jej szczególnej psychologii, a uwypukliłem, jakem tylko umiał, jej ideową i etyczną stronę.

Otrzymałem wtedy od Wyzewy list (po francusku), traktujący mnie niemal, jako pierwszego krytyka światowego. Wyrażał mi „zdumienie“, iż człowiek obcy mógł tak wniknąć detalicznie w psychologię innego człowieka, Valberta (a tym był sam autor), że stawało się to „aż nieprawdopodobne“. Odrzucając przesadę, która jednak świadczyła dobrze o pewnej rozlewności, o *générosité* Wyzewy, winienem powiedzieć, iż sam byłem nawróconcem, a choć cały ten proces odbyłem w krainie myśli i abstrakcji i filozofii, uzdolniony się czułem tem bardziej do zrozumienia tego, co dla Wyzewy, idącego do swego nawrócenia drogą uczuciową, było idea.

Od tego czasu zawiązała się między nami korespondencja, potem znajomość, a wreszcie i przyjaźń. Nie bez zadawania swojemu pióru pewnego, przymusu winieniem, dla charakterystyki Wyzewy, powiedzieć, iż awansował on mnie na swego doradcę artystycznego. Rękopis „Ciotki Wincentyny“ przysłał mi z żądaniem, abym to ja położył na nim „bon à tirer“. Kiedy zaś otrzymał za tę piękną opowieść nagrodę Akademii Francuskiej i do nowej zabrał się powieści, ułożyliśmy się, że spędzimy sezon gdzie razem i w chwilach wolnych będziemy dyskutować jego nowy temat.

Tak zjechaliśmy się w Karlsbadzie w lipcu 1913 r.

I w tym czasie miałem możność do reszty sady moje o nim skorygować. A więc naprzód, wykwinętego paryżanina nie było w nim ani śladu; przeciwnie, uderzał raczej niedbałością zewnętrzną, przekraczającą może miarę artystyczną; ktoby chciał zgadnąć jego stan, ten by pewnie widział w nim muzyka bez zajęcia, albo profesora gimnazjalnego na emeryturze. Lubił jednak wygodę, a napiwki sypał bez rozsądnej miary, niby wołyński magnat dawnego czasu. Potrzeby artystyczne miał silne: codzień literalnie chodził oglądać karlsbadzką galerię obrazów, ani jednego przeciwieństwo spojrzenia nie poświęciwszy nigdy Makartowi. Bywał też codzień na koncertach. Ale gdy nadchodził numer Brahmsa, wstawał i na ten czas wychodził z ogrodu czy sali. Słynna była niegdyś jego kampania przeciwko Brahmsowi a za Wagnerem.

Jego sympatje, jego uczucia nabrały wogóle pewnego niezwykle napięcia, które bym nie śmiał nazwać siłą; raczej dał bym im miano — *zawziętości*. Kochał i nienawidził potężnie, co jednak nie uburzało jego twórczości, nie dawało jego myślom orlich lotów. Jakiś polak uczynił mu krzywdę, gdy był w młodzieńczym wieku: rzucił nań oszczerstwo; skutkiem tego odmówiono Wyzewskiemu stypendyum polskiego, o które zabiegał. W czterdzieści lat potem mówił mi Wyzewa o tym epizodzie ze skoncentrowanym ogniem w duszy. Oszczercy jeszcze nienawidził. I ten to odsunął Wyzewę od polskiego życia — na zawsze.

Nie mniej potężnie kochał. To miłość złamała w nim wszystkie szlachetne ambicje. Śmierć ukochanej żony stała się dlań katastrofą, z której nigdy nie powstał. Nabrał zwyczajnie tłumień narkotykiem nadmierny ból pamięci. Upadł w nim tyle cen-

ny temperament bojowy, straciły dlań wysoki walor idee, za które walczył. Żył przeszłością szczęśliwą tak dalece, że nie zmienił niczego w mieszkaniu, które było ranami i tłem jego radości. To też jego pokój przyjąć, w którym meble na strzępki się rozlażyły, wyglądał na schronienie ubóstwa.

Powieść, którą omawialiśmy wspólnie w Karlsbadzie, była, jak „Valbert“ i „Ciotka Wincentyna“,

autobiografią. Pod naciskiem szlachetnej monomanii swojej Wyzewa, pod wieczór swego życia, zapragnął w artystycznym wyrazie uplastyczyć swoje straszliwe przeżycia. Tematem nowego jego dzieła była miłość artysty (muzyka), którego strata ukochanej złamała, aż do artystycznego upodlenia.

Czy powieść tę wydrukował? Nie mam wiadomości.

Wincenty Kosiakiewicz.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

25

Śród stuletnich kasztanów — mignęła jakaś przytulona do siebie zakochana para, oświecona w cieniu drzew niedyskretnym światelkiem zapalonego papierosa.

— Phi! — skrzywił się Romek, zły za zepsuty nastrój pustki wiejskiej. — Zupełnie, jak wieczorem w Saskim Ogrodzie. Lecz któż to być może? Ach! Naturalnie! Panna Céleste! A ten Romeo, którego udało się jej złowić? Poznają go. To Zarembo. Na bezrybiu i rak ryba.

Sploszona, mimowoli przez Romka — zakochana para — spostrzegła jego obecność za późno. I doświadczona panna Céleste, z braku lepszego pomysłu, poleciła widocznie krótkim rozkazem panu Zarembo, aby uklonił jej się, niby przypadkiem niedawno spotkanej, i aby spokojnym krokiem oddalił się.

Po jego odejściu francuzka, według wykombinowanej strategii — zbliżyła się do Romka.

Nieuplanowana jednak, silniejsza od niej złość — w niej aż kipiała; czyniła Romka, który wzgardził nią, odpowiedzialnym za jej upadek ze złowionym od biedy Zarembo. I ziała teraz gniewem, że Romek na tem flagrantny délit złowił ją.

— Czy pan tak się bał zostać sam na sam ze mną w Jędrzejewicach, że pan aż przez cały dzień tułał się po za domem?

— To jedynie przez dyskrecję; nie chciałem ani narzucać się, ani przeszkadzać.

— Co za delikatność! Czy pan z takiej samej racji nie pojechał dziś do Oazowa, do księżny Eustachowej?

— Nie rozumiem pani — bąknął z najgorszymi przeczuciami.

— Aby i tam nie przeszkadzać zakochanej parze.

— Jakiej zakochanej parze? — zbłądł z obawy przed jakimś nieoczekiwanym gromem.

— Jakto? To brat nie zwierzał się panu ze swoich projektów? — syczała, mszcząc się, kobieta.

— Nie wiem o żadnych projektach mego brata — poczęło mu szumieć w głowie.

— Ha! Jeżeli to jest taka ścisła tajemnica — nie wiem, czy mogę ją zdradzić?

— Będę pani bardzo wdzięczny — czuł, że głos drży mu coraz bardziej.

— To jest tajemnica poliszyneł. Małe dzieci w Jędrzejewicach o niej wiedzą. Tu najformalniejsze wykluwają się projekty małżeńskie. Nie domyślasz się pan, kogo z kim?

— Nie — wyłkał niezrozumiale.

— Ależ brat pański, piękny Apollo, doktor Horski, jaknajformalniej przyjechał tu w konkury.

— O kogo? — Dusza krzyczała: Nie męcz mnie, mów!

— No! Przecież nie o mnie.

— ?

— Naturalnie o Zosię.

— O pannę Zofię? A! Słyszałem coś o tem. Proszę udzielić mi szczegółów.

— Wiem o tem z najdokładniejszego źródła: od ciotki Benisi, która doktora Horskiego w tym celu prosiła do Jędrzejewic; a teraz tryumfuje, że wszystko idzie, jak po maśle. Zosia jaknajwidoczniej podobna mu się. Znać to po jego humorze. Stąd też ta radość w całym domu. Dla biednej a przyzwyczajonej do zbytów panienki takie zamążpójście — to nielada karjera. Wszyscy oczekują, że doktor na wyjeździe w Oazowie zdeklaruje ostatecznie swoje zamiary. Pana nie ra-

duje wiadomość pozyskania tak miłej bratowej?

— Bardzo. Choć nie była ona dla mnie niespodzianką — kłamał, jakby obuchem ogłuszony, z całych sił broniąc swojej męskości.

— Mam nadzieję, że to miła niespodzianka.

— Bardzo miła — dyszał pierś, walącą, jak młotem, nie będąc w stanie poruszyć się z ławki.

Tak wśród burzy wędrowiec nie opuszcza drzewa, zapominając, iż pioruny walą tu groźniej, niż w odległym pustkowiu. Obawiał się samotni; spragniony szczegółów — pozostał.

Panna Céleste okazała się bezlitosną. Musiała ją bardzo dotknąć zniewaga, iż jej kiedyś nie chciał. I walcowała bez końca szczegóły, epizody, detale, prawdziwe i urojone, a zupełnie Romkowi nieznane ostatnich dni Jędrzejewickich.

Romek, wypalając nerwowo dziesiątki papierosów, wsłuchiwał się chorobliwie w jej opowiadania, łowiąc z rozkoszą jej kłamstwa, stwierdzając z rozpaczą ponieważ się trafność wielu jej obserwacji. I wyciągał z niej nowe wnioski, nowe prawdy, nowe zwierzenia, jak sędzia śledczy, prowadzący sprawę, w której sam gra największą, nieznaną nikomu rolę.

Ani spostrzegł, jak wśród czarnej nocy, na piaszczystej królewskiej drodze, wśród czarnych bółklinowskich stuletnich kasztanów, sięgających ugiętej toni nieba — zadudniała miękko czterokonna, wielka, czarna karoca z jarzącymi latarkami. I Romek, nie w stanie witać się z nimi, jak kogut, przekonany, że kiedy zamkną oczy — nikt go nie widzi — dał nura — nie gasząc nawet swego papierosa.

Tak ucieka, nieprzewidujący następstw, niezręczny kochanek z karygodnej schadzki.

X.

To wszystko, co mówiła oniemiałemu ze zdziwienia Romkowi mademoiselle Céleste, było jednak niestety! najzupełniejszą prawdą dla oczekiwania przez wszystkich w Odrozowie (nawet księżstwo) Byli wściekłą sprawę wtajemniczenia i chwila deklaracji — urzeczywistniła się. Horzki oficjalnie prosił ciótkę Benisię o wyrobie nie ma pozwolenia bywania w miejscach zamieszkania w Warszawie w domu państwa Polewskich, si-
Zosia nie była jeszcze o tym ostatecznym fakcie powiadomiona z uwagi na stan jej nerwów w obcym

domu. Wogóle szło z nią w tej sprawie, jak z kamienia; choć zdumionej tym oporem matce — wręcz się zde- maskowała.

— Dziecko moje. Odrzucasz spadłą z nieba karierę? Zatrzasz matce jedyną rozkosz w życiu, jaką sprawiłoby to zamażpójście z tysiąca i jednej nocy, zbudzające zawiść w najbogatszych pannach, które rutkę sieją. Bo niema kandydatów. Pomyśl, dziecko, nie masz grosza po- sagu; a tu spada ci z nieba piękny, w kwiecie lat człowiek, inteligentny, miły, z wybitnym stanowiskiem. Stworzy ci sytuację towarzyską, otoczy komfortem; nie można mu nie zarzucić.

— Nie jestem wolną.

— ?

— Jestem kochaną przez pana Romana Rudnika.

— Co? Korepetytor? Chyba żartujesz. Ależ dzieciaku, to są wakacyjne zabawki podlotka, to sezo- nowy flirt, który się nie liczy. Prze- cież to śmiechu warte.

— Mam! — rzuciła jej się z płaczem w objęcia. — Mylisz się. To uczucie zupełnie seryo. Nie jestem kokietką, zmieniającą flirty, jak rękawiczki.

— I on ośmielił się wyjawiać ci swoje uczucia?

— Nie. Nie zamieniliśmy obo- je w tej kwestyi ani jednego słowa — mówiła, zaróżowiona po białka oczu prawdę; a pominęła jedynie tajemni- czy szczegół, z którego nie potrafi- ła by się wywnętrzyć nawet przed księdzem. — Ale doskonale wiemy wzajemnie, co się w naszych ser- cach dzieje. Należymy oboje do lu- dzi, żyjących jedynem uczuciem, trwającym do grobu. Jestem twoją córką, mam!

— Twój ojciec nie był korepe- tytorem — ujęła się za mężem pani Polewska.

— A co się tyczy jedynego uczu- cia, to przepraszam — uważała za właściwe wtargnąć solidaryzującą na- turalnie z panią Polewską ciotka Benisia. Przestałaś już być dzieckiem, więc należy wtajemniczać cię i o- tworzyć oczy na pewne drażliwości życia, ton koniecznej, kiedy chodzi o ocalenie cię od niewczesnych ro- mantrycznych mrzonek.

— Otóż wiedz (możesz wierzyć starej ciotce na słowo, mogę też przysiąc ci na pamięć mego zmar- łego męża), iż ten młodzieniec, które- mu nie chcesz ramać życia zaradką jedynej jego miłości, uprawia jed- noznacznie z niewinnym flirtem ro- mansik z mademoiselle Céleste.

— To fałsz! — syknęła błada, jak trup, Zosia.

— Ciociu — upomniała ją pani Polewska z obawy o zbyt silną daw- kę lekarstwa.

— Nie szkodzi. Niech wie o wszystkim. W chirurgii brutalność jest konieczną. Gangrenę należy wy- ciąć od razu. Otóż onegdaj wśród ciemni ogrodu, kiedy z matką twoją zagadałyśmy się do późnej nocy — widziałyśmy najwyraźniej wkradają- cego się oknem do mademoiselle Cé- leste mężczyznę. Racz mi wytlóma- czyć, kto inny po za nim mógł w Ję- drzejewicach ją odwiedzać?

— Doskonale! — wybuchła spa- zmatycznym płaczem Zosia, i, ucie- kając, jak zraniona sarna do swojej nory, rzuciła: — To jeszcze nie po- wód, abym miała sprzedawać się człowiekowi, którego nie kocham. Nie wyjdę za mąż za nikogo!

Ta ostatnia groźba brzmiała już zbyt dziecinnie. I obie damy poro- zumiewawczo uśmiechnęły się ukrad- kiem do siebie.

Nie! Stanowczo dawka leka- rstwa była już zbyt silną! Chora zbyt wiele cierpiała; bardziej, niż od sa- mej rany.

— A więc to jest życie? — zab- kowała na progu dojrzałości, buntu- jąc się przeciwko obuchom. — Jak oni mogli otwierać mi oczy na takie brudy! Jak mogli! Takie brudy, brudy! — upierała się przy tem wy- rażeniu, po raz pierwszy wymawia- nem i odczutom.

Wśród te spojrzenia jego, te uśmiechy, te kwiaty jej, które wi- działa, jak ukradkiem całował, te co- dzienne modlitwy pod jej oknami, ta niema gotowość złożenia w ofierze u stóp jej życia — to wszystko było kłamstwem, flirtem, zabawką?

A więc to wszystko, w co ona ubierała go w swojej wyobraźni, co wyczuwała, czego domyślała się, te wszystkie niewypowiedziane święte skarby, jego uśmiech, jego myśli, to wszystko było pomyłką, złudą, jej wyobraźnią!

A więc to, tylko ona jedynie po- nad ziemią stapała! To w jej jedy- nie wyobraźni rozwił się ten fanta- styczny raj z bédnym królewiczem z bajki!

A on w trakcie tym palił sobie papierosy, odrabiał korepetycje z chłopcami i romansował z francu- zką!

— Du sublime au ridicule — il n'y a qu'un pas — z gorzkim, jak pio- łun, uśmiechem zakonkludowała.

Lecz po paru nocnych rozmyśla- niach stała się ugodową: Przecież nie jestem dzieckiem, przekonana, że rodziny powiększają się przy po-

średnictwem bocianów. Wszyscy mężczyźni wybierają sobie kochanki wśród bon, pokojówek i kokot, nieprzeszkadzających im kochać się jednocześnie w pannach lub mężatkach.

To rozjaśnienie przyniosło jej pewną ulgę, lecz niewielką. Zasnęła zaledwie na pół godziny i wnet, poczuwszy swój świeży ból, przewracała się na łóżku do rana, jak poprzedniej nocy.

— Dla takiej miłości — zakładowała, jakby ciężar wielu lat, przebytych w ciągu tego tygodnia, spadł jej na piersi — nie warto poświęcać życia i znosić ofiary.

Uczuła z rozpaczą swoje kalektwo: utratę sił do walki, co do której nie wątpiła, iż powróci, zaledwie tylko otoczenie jej przekona się, iż trochę odetchnęła.

Z pierwszymi pociskami natrze na nią ciotka Benisia; a jeżeli te jej nie obalą, na pole walki wysunie się matka, uzbrojona w argumenty coraz silniejsze. Bo i ona sama zbankrutowała przecież w życiu, opierając się na miłości, posiadającej więcej cierpliwości, niż zapachu. Potem — rzecz prosta — rozwiną argumenty pozłacanej ich biedy, najsmutniejsze horoskopy jutra całej rodziny. A potem nastąpi wylew łez.

I Zosia czuje się zupełnie nieuzbrojoną do obalenia przeciwnika. Wie, że będzie jeszcze przez pewien czas upierała się.

— Nie, nie, nie! Będzie to brzmiało już coraz słabiej, z ciągle temi samymi nie przekonywającymi argumentami, że choć nie ma nic doktorowi do zarzucenia, lecz nie chce wyjść za mąż bez miłości. A wreszcie wie, że ustąpić musi, bo powód jej jest zbyt błahy, aby odrzucić świetną partię.

I faktycznie jeszcze przez kilka dni po tej walnej rozmowie „panna“ podług określeń dam „grymasiła“. Ale panna w takich razach powinna trochę grymasić. Lecz wogóle cała sprawa szła już trybem normalnym, a taktowny chłód panny przyspieszał tylko decyzję konkurenta.

Dalszy ciąg nastąpi.



Wołyńcy dziś a przed 10 laty.

Wśród wiadomości o przebiegu uwięzionej pomyślnym skutkiem rewolucji rosyjskiej znajdują się takie, które są w stanie w zdumienie każdego wprowadzić. Do wiadomości tego rodzaju należy czynny udział żołnierzy wołyńskiego pułku w rewolucji. Według telegraficznych informacji, pułk ów szybko zgłosił swój akces do rewolucji, poddał się zarządzeniom rządu tymczasowego i wziął udział w uroczystej defiladzie wojska przed pałacem Taurydzkim.

Jeżeli udział w rewolucji słynnych „preobrażenców“, którzy w r. 1905 krwawo stłumili powstanie zbrojne w Moskwie, był dla wszystkich niespodzianką, to niemniej stanowisko wołyńców zadziwić musiało tych wszystkich, którzy się zbliżali z tym pułkiem stykać i mieli żywo w pamięci czasy ostatniej rewolucji 1905 i 1906 r. Niemal we wszystkich wypadkach rzeczywistość zaprzeczyla rozpowszechnianym w owym czasie teoryom o łatwości przeciągnięcia wojska na stronę rewolucji, bez względu na to, czy żołnierze znajdują się we własnym, czy w podbitym kraju. Nigdzie jednak tak jasnkrawo życie nie naigrawało się z teoryi, jak wówczas, gdy chodziło o wołyńców. W żołnierzach i oficerach pułku wołyńskiego miał rząd wypróbowaną ostoję reakcji. Nie-nawisć, jaką żywili wołyńcy do wszelkich przejawów ruchu rewolucyjnego, w szczególności zaś do „inorodców“, w osobach których widziała ta rozbestwiona tłuszcza wcielenie wszelkiej myśli rewolucyjnej, była tak wielka, że mundur wołyńca stał się na długie lata symbolem mordy i pogromu. Ulokowani niemal w centrum miasta, na rogu ul. Przejazd i Nowolipek, wołyńcy rzucali grozę na całą dzielnicę. Częste wystrzały w tej okolicy, jakie się dawały słyszeć w tym okresie grozy i terroru, były niezbitym dowodem dla mieszkańców, że wołyńcy już sobie „popuhali“.

Gdy chodziło o rzucenie postrachu na ludność, na wołyńców mógł rząd liczyć z całą pewnością. Po „krwawej środzie“ (pod tą nazwą rozumiano masowe zamachy na wojsko i policję, dokonane na podstawie ogólnego planu przez P. P. S. w dniu 15 sierpnia 1906 roku) bardziej odpowiedzienne funkcyje na ulicach miasta zaczęto powierzać wyłącznie wołyńcom. Pod ich konwojem prowadzono odtąd co dni parę transportów więźniów z ratusza do cytadeli.

Piszący te słowa widział niejednokrotnie te gromady więźniów różnego wieku i stanu, po przytransportowaniu ich do cytadeli. Niemal połowę trzeba było nazajutrz rano prowadzić do lekarza, dla poddania ich opatrunkowi, gdyż głowy mieli pokrwawione od uderzeń kolbami. Wyjaśniło się, że wołyńcy, skoro tylko cały orszak minal ucieszczane przez ludność ulice miasta i znalazł się w pobliżu placu Broni, nagle, bez żadnego powodu ze strony więźniów, rzucali się na nich i miotając szereg przekleństw i obelg pod adresem tych „buntowuszczyków“, zaczęli ich bić kolbami, pchając w kierunku żołnierzy, konwojujących więźniów z przeciwniejszej strony. Tamci czynili to samo, odpychając więźniów kolbami w stronę swych kolegów. Taka zabawa trwała aż do samych bram cytadeli, poczem więźniów pokaleczonych i ledwo trzymających się na nogach rozmieszczano w forcie Aleksieja lub w wewnętrznych fortach cytadeli.

W więzieniach, zgodnie z panującą teoryą, że najważniejszym i najpierwszym z kolei zadaniem jest oddziaływanie na żołnierzy i przerabianie ich na rewolucjonistów, zajmowano się bardzo żywo propagandą wśród wojska. Sposobność do tego było niemało. Codziennie w południe przybywał mały oddział wojska (wzвод), dla pilnowania więźniów, i po otrzymaniu raportu od poprzedników, obejmował swoje posterunki. Więźniowie wciąż wychodzili pod konwojem żołnierzy na obiad, po wodę, to znów dla innych potrzeb, współzycie więc było ułatwione. Szczególnie zaś tyczyło się to lazaretu fortecznego (tak zwany „grazdanskij lazaret pri IV bastionie“), który uchodził za prawdziwą kuźnię propagandy rewolucyjnej wśród wojska.

Więźniowie mieli zawsze u siebie dużo zapasy nielegalnych gazet, przeznaczonych specjalnie dla wojska (jak „Soldatskaja dolia“, „Soldatskij listok“) i rozdawali je żołnierzom. W godzinach wieczornych, gdy zwykłe humory więźniów się poprawiają i zaczyna panować stan ostrego podniecenia, śpiewano zbiorowo po rosyjsku pieśni rewolucyjne. Niektóre z nich, jak „Aj że dolia, moja dolia, dolia gorkaja moja“, opisująca ciężki los włościanina rosyjskiego, zapędzonego niewinnie na Sybir, wyciskały łzy z oczu żołnierzom.

Podchodzili oni do więźniów i prosili, aby im te piosenki przepisać.

Każdy pułk, przysłany na wartę, posiadał odrębną fizyonomię polityczną i więźniowie, nauczeni doświadczeniem, wiedzieli dobrze, czego od każdego można się spodziewać. Pojawienie się żołnierzy ostrołęckiego pułku, który uchodził za najbardziej zrewolucjonizowany, witano z radością. Żołnierze, nie krępując się sobą wzajemnie, już zdaleka wznosili powitalne okrzyki, a wszedłszy do kazamat, siadali obok więźniów i wspólnie z nimi jedli i pili, traktując ich, jak swych dawnych znajomych i przyjaciół.

Najgorzej było z wołyńcami. Ich ukazanie się oznaczało zapowiedź „złego dnia” dla wszystkich więźniów. Nietylko o jakiejś zażyłości, ale nawet o znośnych warunkach bytu nie było mowy i trzeba było dopiero powoływać się na regulamin więzienny, który nigdy nie wisiał na właściwym miejscu, aby wywaleczyć sobie to, do czego wszyscy więźniowie mieli niezaprzeczalne prawo. Często i to nie pomagało i dopiero skutkowałą groźba odwołania się ze skargą do komendanta twierdzy, który rozstrzygał sprawę ściśle na podstawie przepisów wojskowych, nie kierując się specjalną niechęcią względem więźniów, i podobno znajdował się w stałym antagonizmie z żandarmeryą.

Jeżeli współzycie z wołyńcami było nie do zniesienia, to prawdziwą gehenną była obecność żołnierzy z rot tak zwanych „brodatych” wołyńców. Ci brodacze musieli chyba być specjalnie dobierani z pośród najbardziej zakamieniałych czarnosecińców, gdyż prześladowanie więźniów było ich największą przyjemnością. Żadna ich wizyta nie obeszła się bez awantury, połączonej z groźbą strzelania.

O propagandzie rewolucyjnej wśród wołyńców niepodobna było nawet marzyć. Czasami jednak probowano nawiązać z nimi rozmowę, choćby dla przekonania się, co taki wołyńiec naprawdę czuje i myśli.

Przychodzi np. wołyńiec po jakiegoś więźnia, którego ma odprowadzić do cyrkułu, aby stamtąd puszczono go na wolność. Więzień, zamiast się cieszyć z upragnionej wolności, drży, jak liść osiki, przewidując, jak przyjemne niespodzianki gotuje mu spacer z wołyńcem nocną porą bez świadków. Gdy więzień gotuje swe manatki, inni przez ten czas zabawiają żołnierza rozmową.

— „Co słyhać, ziemiak?” (Ziemiakami, czyli współpowietnikami, nazywają rewolucyoniści wszystkich żołnierzy).

— Wiadomo, co słyhać. Znowu naszego brata na ulicy zabili.

— A zabójcę złapali?

— Gdzie ich tam złapać. Ludność zamiast dopomagać, jeszcze ich ukrywa. Uciekł do bramy i tyleśmy go widzieli. Na drugi raz będziemy wszystkich bili, którzy nam nie zechcą pomagać.

— Posłuchaj, ziemiak — mówi filuternie jeden z więźniów, jakiś roznosiciel gazet (od tego rodzaju przestępców roily się wtedy więzienia). Jeżełj ja ci będę pomagał, to mnie przez zemstę jego koledzy-rewolucyoniści zabiją.

— A jeśli mi nie będziesz pomagał, to ci dam kolbą przez łeb.

— To już ja wolę — odpowiada chłopak — dostać od ciebie kolbą, niż od niego kulą.

— Niewiadomo, co lepsze — odpowiada wołyńiec. — Jak raz i drugi kolbą cię przejadę, będziesz przez całe życie „kahu, kahu” (przy tych słowach wołyńiec naśladował kaszel) i prędko na tamten świat się dostaniesz.

I nie było to żartem. Nieraz ofiara kolb wołyńców dostawała płucnego krwotoku i nie wychodziła więcej z więzienia na świat boży.

Nad przyczyną rewolucyjnego nastroju w społeczeństwie wołyńcy nigdy głębiej się nie zastanawiali. Najbardziej utartym był pogląd, że rewolucję wywołują polacy i żydzi, pragnący zniszczyć matkę - Rosję.

Jak się okazało z rozmowy z jednym żołnierzem, któryś z wyższych oficerów wołyńskiego pułku urządził w koszarach dla żołnierzy specjalne polityczne wykłady, które miały na celu wzbudzić w nich nienawiść dla ruchu rewolucyjnego. No — i nauka nie szła na marne.

Żydów nienawidzili wołyńcy jeszcze bardziej niż polaków. „Jak idę przez ulice, zamieszkane przez polaków — mówił do mnie jeden z wołyńców, nie obawiam się zasadzki. Najgorzej w żydowskiej dzielnicy. Zawsze ktoś strzeli z za węgla. Z żydamj trzeba jaknajprędzej porządek zrobić”.

I robili też wołyńcy po swojemu porządek. Rewolucyoniści odpłacali się im nieubłaganą nienawiścią, i nie było tygodnia, aby trupa żołnierza wołyńskiego pułku nie znaleziono na ulicy. Rewolucya upadła, ale wołyńcy przez długi jeszcze czas mścili się na bezbronnej ludności.

Dziś wołyńcy okazują poparcie rządowi republikańskiemu. Wojna obecna przekonała ich widzieć, że oprócz chęci polaków oderwania się od Rosyi musiały istnieć inne jeszcze przyczyny fermentu rewolucyjnego w państwie. Głębokie śnać postępy uczyniła myśl rewolucyjna, skoro stała się dostępną dla tępego mózgu wołyńców. W interesie całej ludzkości życzyć należy, aby nie ujrzano ich znowu w awangardzie kontrrewolucyi.

J. Krzestawski.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

15

POWIEŚĆ.

Panna Haldin wstała raptem. Ucieszyło mnie to. Gość widocznie nie spodziewał się tak stanowczej wskazówki i zrazu podniósłszy głowę, zamigotał ciemnemj okularami z pogodną ciekawością; lecz zmiarkowawszy się, wstał szybko, chwytając zřęcznie kapelusz z kolan.

— Jakże to być może, Natalio Wiktorówno, żebyś pani tak długo trzymała się zdala od tego, co jest — niech sobie złe języki mówią, co chcą — jedynem środowiskiem intelektualnej swobody i wyższego pojmowania naszej przyszłości? Nie dziwię się szanownej matce pani. W jej wieku nowe twarze, nowe poglądy nie są może... Ale pani? Czy to niedowierzanie, czy obojętność? Tak czy owak musisz pani zerwać z tą wstrzemięźliwością. My, rosyanie, nie mamy prawa trzymać się zdaleka

jedni od drugich. W naszych warunkach jest to prawie zbrodnią przeciw ludzkości. Nie wolno nam pozwalać sobie na zbytek osobistego cierpienia. W dzisiejszych czasach szatana nie zwalcza się postamj i modlitwą. A post, to w gruncie rzeczy głodzenie się. Pani nie powinnaś się głodzić, Natalio Wiktorówno. Nam potrzeba siły. Duchowej siły. Bo materyjalnej posiadamy pod dostatkiem; nikt nas w tym względzie nie przewyższy. Inaczej grzeszy się w dzisiejszych czasach i droga do zbawienia dla czystych dusz inną jest również. Nie znajduje się jej w klasztorach, lecz w świecie, w...

Głos jego brzmiał, jakgdyby wychodził z pod ziemi. Panna Haldin przerwała z pewną niecierpliwością:

— Ależ, Piotrze Iwanowiczu, ja

wcale nie myślę wstępować do kłasztoru. Któżby tam szukał zbawienia?

— Mówiłem pod przenośnią.

— I ja też mówię pod przenośnią. Ale ból jest bólem na dawny sposób i ludzie muszą się z nim zmagać, jak im najlepiej. Wiem, że cios, który spadł na nas tak niespodzianie, jest drobnym epizodem w doli narodu. Bądź pan pewny, że nie zapomina o tem. Ale teraz muszę myśleć przede wszystkim o mojej matce. Jakże możesz pan żądać, abym ją zostawiła samą, i wchodziła pomiędzy obcych ludzi? To jest wprost niemożliwe, a ostatecznie, czegoż innego żadasz pan odemnie?

Stał przed nią ogromny, barczysty, ostrzyżony przy samej skórze, jak skazaniec, mnie zaś widok tej wielkiej różowej czaszki wywołał w pamięci obraz rozczochranej głowy, otoczonej chmurą much i moskitów i nagich członków przemykających wśród mokrych gąszczów syberyjskiej tajgi. Był to mimowolny hold, złożony potędze jego pióra. Nikt nie mógł wątpić, spojrzawszy na tego człowieka, że błądził i krył się po lasach nagi, opasany łańcuchem. Dzisiejszy czarny, luźny ubiór odziewał go z jakąś surową, misyonarską prostotą.

— Wiesz pani, czego ja chcę, Natalio Wiktorówno? Chcę z paną uczynić fanatyczkę.

— Fanatyczkę?

— Tak; wiara sama nie wystarczy.

Głos jego stał się jeszcze głębszym. Podniósł na chwilę potężne ramię, w drugiej, opuszczonej wzdłuż ciała ręce trzymając jedwabny kapelusz.

— Powiem pani coś, nad czym proszę, zastanów się pani, uważnie. Posłuchaj, Natalio Wiktorówno. Nam potrzeba siły, któraby mogła poruszyć niebo i ziemię — nie mniej!

To „nie mniej“ wymówione jego podziemnym, przepaścistym głosem zabrzmiało wprost uroczyście, niby stłumione huczenie organów.

— A siłę tę mamy znaleźć w salonie pani de S...? Wybacz mi, Piotrze Iwanowiczu, ale śmiem w to wątpić. Wszak to dama wielkiego świata, arystokratka.

— Uprzedzenie! — zawołał. — Zdumiewasz mnie pani. A gdyby i była tem wszystkim. Jest niemniej kobietą z ciała i krwi, coś musi być zawsze w nas, co przeciwstawia duchowej stronie naszego ja. Ale czynić jej z tego zarzut, tego się po pani nie spodziewałem. Nie! Tego się nie spodziewałem. Można by sądzić, że pani nasłuchiwała się jakichś złośliwych, skandalicznych plotek.

— Nie; upewniam pana. Ale świat mówi o niej. Cóż może być wspólnego pomiędzy taką wielką damą a przeciętną wieśniaczką, jak ja?

— Pani de S... to wcielenie szlachetnego, bezcennego ducha — prze-rwał gość. — Jej urok, nie, nie będę mówił o jej uroku. Ale każdy, kto się do niej zbliży, ulega mu. Zwątpienie rozwiewa się, jak mgła; niepewności nikną. Może się mylę — ale ja nie mylę się nigdy w sprawach duchowych — i dlatego jestem pewny, że dusza pani znajduje się w rozterce, Natalio Wiktorówno.

Panna Haldin nie odrzekła, on zaś mówił znowu:

— Nie dalej jak wczoraj wieczorem, wracając z Chateau Borel do miasta z naszym świeżo przybyłym z Petersburga młodzieńcem, miałem sposobność zauważyć ten nadzwyczajny, kojący wpływ... Młodzieniec szedł przez całą drogę w skupionem milczeniu, jakgdyby w duszy jego dokonywał się jakiś przełom, i słuchał mnie cierpliwie. Co do mnie, byłem sam jak natchniony genialną mocą Eleonory, chciałem powiedzieć pani de S... Księżyc świecił w pełni i widziałem dokładnie jego twarz. Nie mogę się mylić...

Panna Haldin spuściwszy oczy zdawała się wahać.

— Dobrze zatem. Pomyślę nad tem, coście mi powiedzieli, Piotrze Iwanowiczu. I, jak tylko będę mogła zostawić bezpiecznie matkę moją na parę godzin, odwiedzę panią de S...

Aczkolwiek słowa te wypowiedziane były chłodno, treść ich zdumiała mnie. Co się tyczy Piotra Iwanowicza, chwycił rękę panny Haldin z takim zapalem, iż sądziłem, że ją przycisnie do ust lub do piersi. Lecz trzymał ją tylko za końce palców w swej olbrzymiej łapie i potrząsał nią zlekka, mówiąc:

— To, dobrze. To bardzo dobrze. Nie pozyskałem sobie jeszcze pełnego zaufania pani, Natalio Wiktorówno, ale to przyjdzie. Wszystko w swoim czasie. Siostra Wiktorra Haldina nie może pozostać na stopniach. Kwiaty, łyzy, oklaski, wszystko to minęło; to średniowieczny przeżytek. Arena, sama arena jest miejscem dla kobiet.

Puścił jej rękę takim ruchem, jakgdyby ją czemś obdarzał, i stał z głową schyloną, jakgdyby składając niemi hold jej kobiecości.

— Arena!... Musisz zstąpić na arenę, Natalio!

Cofnął się krokiem w tył, zginając swą olbrzymią postać i wyszedł szybko. Drzwi zamknęły się za nim. Ale w chwilę potem rozległ się z przedpokoju jego basowy głos, prze-

mawiający do służącej, która go wypuszczała. Może namawiał ją, by zstąpiła na arenę, bo brzmiało to, jak kazanie, ale lekki stuk wchodowych drzwi przerwał je niezwłocznie.

III.

Staliśmy chwilę w milczeniu, patrząc na siebie.

Panna Haldin podeszła ku mnie, podała mi rękę i zapytała po angielsku:

— Pan wie, kto to jest?

— Wszyscy wiedzą. To rewolucjonista, feministka, wielki pisarz, jeżeli pani chcesz i — jakby to powiedzieć — poufny gość mistycznego rewolucyjnego salonu pani de S...

Panna Haldin przesunęła ręką po czole.

— Wie pan; był tu przeszło godzinę, zanim pan przyszedł. Taka byłem rada, że mama się położyła. Nie sypia po nocach; czasem tylko w dzień zdrzemnie się na parę godzin. Z wyczerpania tylko, ale i za to dzięki Bogu... bo gdyby nie te krótkie chwile spokoju...

Popatrzyła na mnie, i z tą nadzwyczajną przenikliwością, która tak mnie zbijała z tropu wstrząsnęła głową:

— Nie; mama nie zwaryuje.

— Ależ droga pani! — zawołałem tembardziej zmieszany, iż w głębi duszy uważałem panią Haldin za bliską obłąd. —

— Pan nawet nie wie, jaki mama posiada piękny, jasny umysł — ciągnęła dalej Natalia Haldin, z tą swoją spokojną prostotą, która zawsze miała w sobie dla mnie coś bohaterckiego.

— Ależ „niewątpliwie“ — wyszeptałem.

— Spuściłam rolety w pokoju mamy i wyszłam tutaj. Od tak dawna pragnęłam pomyśleć spokojnie.

Umilkła i dodała po chwili:

— A to tak trudno.

— Odwiedziny tego pana nie ułatwiły pani tego zadania — zauważyłem.

Natalia Haldin stała przedemną ze szczególnym wyrazem w swych szarych oczach.

— Nie powiem, żebym całkowicie rozumiała Piotra Iwanowicza. Ale trzeba mieć jakiegoś przewodnika, choćby się go nie we wszystkim słuchało. Jestem niedoświadczoną dziewczyną, ale nie mam niewolniczego usposobienia. Za dużo już takiego niewolniczego miałem w Rosji. Ale posłuchać czasem nie zawadzi. Chociaż przyznam się panu, że nie byłam zupełnie szczera z Piotrem Iwanowiczem. Nie pojmuję, co mnie wstrzymało, w chwili, gdy

Poszła szybko w ką pokoju, otworzyła szufladkę biurka i wyjęła zapisaną, podłużnie złożoną, ćwiartkę papieru.

— Chciałam pannę przeczytać pewien ustęp z listu mego biednego brata. On nie wątpił nigdy. Bo i jakże miał wątpić? Ich jest przecież tylko taka garstka tych nikczemnych ciemiężycieli wobec zjednoczonej woli naszego ludu.

— Brat pani wierzył w potęgę tej woli ludu?

— To była jego religia — oświadczyła panna Haldin.

Spojrzałam na jej spokojną twarz i błyszczące oczy.

— Oczywiście, wolę tę trzeba rozbudzić, natchnąć, pokierować nią. To jest istotnie zadanie prawdziwych agitatorów i za to warto dać życie. Poniżająca służalczość, absolutystyczne kłamstwa muszą być do szczerze wykorzenione. Nie może być mowy o żadnych reformach, bo niema czego reformować. Niema praw. Są tylko arbitralne ukazy. I garść okrutnych — może zaślepionych — urzędników przeciw całemu narodowi.

List zaszeleścił zlekka w jej ręku. Spojrzałam na papier zaczerpiony ściśle, pismem, które zachodniej Europie wydaje się czemś kabalistycznym, niezrozumiałym.

— W ten sposób postawiona kwestya wydaje mi się dosyć prostą. Ale nie sądzę, żebym dociekał jej rozstrzygnięcia. A jeżeli pani wrócisz do Rosyi, wiem, że nie zobaczę cię już więcej. Mimo to jednak, mówię: wracaj pani. Nie sądzę pani, że myślę o twojem bezpieczeństwie. Nie! Wiem, że bezpieczną tam nie będziesz. Ale wolę to nawet, niż, myśleć o tem, co cię tu spotkać może.

— Wie pan co — rzekła panna Haldin po chwili zastanowienia. — Mnie się zdaje, że pan nienawidzisz rewolucyi; uważasz ją za coś niezupełnie uczciwego. Należysz pan do narodu, który wszedł z losem w układy i nie chce mu się narażać. Ale my nie zawieraliśmy żadnych układów; nie mieliśmy po temu sposobności; nie powiedziano nam nigdy: Tyle a tyle swobody, za taką cenę. Pan, jeżeli o kim dobrze trzymasz, to uważasz jego mieszanie się w rewolucyjny ruch za coś — jakby to powiedzieć — nie zupełnie przyzwoitego.

Schyliłam głowę.

— Masz pani słuszość — rzekłam. — Mam o pani bardzo wysokie pojęcie.

— Nie sądzę pan, że nie wiem o tem — zaczęła spiesźnie. — Cenię bardzo przyjaźń pana.

— Przyjaźń moja, niestety, była i jest bierna.

— Ale niemniej cenną. Dzięki jej czułam się mniej samotną. To trudno wytłómaczyć.

— Doprawdy? Otóż i ja czułam się mniej samotnym. Choć mnie byłoby to łatwo wytłómaczyć. Ale dajmy temu pokój. Powiem pani tylko tyle: W prawdziwej rewolucyi jednostki najszlachetniejsze zostają zawsze w tyle. Na czoło gwałtownych, rewolucyjnych wstrząśnień wysuwają się fanatycy o zacieśnionych umysłach i hypokryci tyrani. Szlachetne, podniosłe, ofiarne natury mogą rozpocząć jakąś akcyę, ale ona zawsze im się z rąk wysunie. To nie są przywódcy rewolucyi: to są jej ofiary; ofiary rozczarowania, niesmaku, czasem wyrzutów sumienia. Dość mamy podobnych przykładów w każdej rewolucyi. A ja bym nie chciał, żebyś pani była ofiarą.

— Choćbym nawet uwierzyła w to wszystko, co pan mówisz, jeszcze bym nie myślała o sobie — rzekła panna Haldin. — I powiem panu nawzajem, że przyjąłabym wolność z każdej ręki, jak człowiek głodny porwałby kawałek chleba. Wolność przedewszystkiem. A potem dopiero zacznie się prawdziwy postęp i ludzie, którzy go poprowadzą. Są już tacy pomiędzy nami... Spotyka się ich... Nieznani, samotni, pracują, przygotowując się.

Rozłożyła list trzymany w ręku i patrząc nań ciągnęła dalej:

— Tak. Spotyka się: Nieskalane, podniosłe, samotne dusze.

Spojrzałam pytając, ona zaś składając list, objaśniła:

— To są słowa, które brat mój stosuje do pewnego młodzieńca w Petersburgu. Serdecznego przyjaciela, zapewne. Niewątpliwie. Jedyne to nazwisko, które brat mój wymienia w całej swojej korespondencji ze mną. Tylko jedno. I co pan powiesz? Ten młody człowiek jest tu. Przyjechał świeżo do Genewy.

— Widziałas go pani? — zapytałam. — Oczywiście, musiałaś go widzieć.

— Nie! Nie! Nie widziałam. Nie wiedziałam nawet, że przyjechał. Piotr Iwanowicz powiedział mi. Słyszałeś pan sam, jak mówił o nowo przybyłym z Petersburga. Otóż to jest ta: nieskazitelna, podniosła, samotna dusza. Przyjaciel mego brata!

— Skompromitowany politycznie, zapewne — zauważyłam.

— Nie wiem. Tak. Zapewne. Kto wie!... Może właśnie przyjaźń z moim bratem była powodem... Ale nie. To niemożliwe. Zresztą wiem tylko to, co mi Piotr Iwanowicz po-

wiedział. Ten młody człowiek przywiózł list polecający od ojca Zosima — księdza demokracji — musiałeś pan słyszeć o ojcu Zosimie?

— O, tak. Stawny ojciec Zosim bawił około dwóch miesięcy zeszłego roku w Genewie — odrzekłam. — A potem, jakby zniknął ze świata.

— Pokazuje się, że jest znów w Rosyi — rzekła panna Haldin z ożywieniem. — Gdzieś w środkowych prowincjach. Ale, proszę, nie wspominaj pan o tem nikomu, bo gdyby się to dostało do pism, mogłoby być niebezpiecznem dla niego.

— Pani, rzecz prosta, pragnęłabyś zobaczyć się z tym przyjacielem twego brata? — zapytałam.

Panna Haldin schowała list do kieszeni i rzuciła okiem na zamknięte drzwi pokoju matki.

— Nie tutaj — szepnęła. — Przy najmniej pierwszy raz.

Po chwili milczenia zacząłam się żegnać. Panna Haldin wyszła ze mną do przedpokoju, starannie drzwi za sobą zamykając.

— Domyślasz się pan zapewne, gdzie chcę iść jutro?

— Postanowiłaś pani odwiedzić panią de S...

— Tak. Muszę.

— I czegoś się pani spodziewasz po tej wizycie? — zapytałam cicho. Przyszło mi na myśl, że może ludzi się jakaś nieprawdopodobna nadzieja. Ale nie.

— Pomyśl pan tylko — taki przyjaciel! Jedyne człowiek, o jakim wspomina w swoich listach... Może ma coś dla mnie. Choćby tylko kilka słów... z tych ostatnich dni. I ja bym miała odwracać się od tego, co mi jedynie po moim biednym bracie pozostało... od jego przyjaciela?

— Z pewnością, że nie — odparłam. — Rozumiem panią doskonale.

— „...Nieskazitelne, podniosłe, samotne dusze“... — szepnęła do siebie. — Są takie! Są! Niechże więc jedna z nich powie mi coś o moim ukochanym zmarłym.

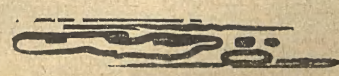
— Ale skąd pewność, że go tam pani spotkasz? — zapytałam. — Czy on mieszka, jako gość, w Château Borel?

— Doprawdy nie wiem. Przywiózł polecający list od ojca Zosima, który jest także przyjacielem pani de S... Musi to być jednakże wartościową kobietą.

— I o ojcu Zosimie różnie mówiono — zauważyłam.

Wzruszyła ramionami.

Dalszy ciąg nastąpi.



Przyznać trzeba, że literatura nie nazbyt jeszcze bogata. Uderza to każdego, jeśli rozejrzeć się, zwłaszcza w piśmiennictwie niemieckiem.

A przecież bieg spraw tak się układa, że nader ważną jest dla nas rzeczą solidne i wyczerpujące państw centralnych o Polsce informowanie. Nie wystarczają wszakże niemieckie N. K. N. wydawnictwa prof. M. Rostworowskiego, prof. O. Balzera, dr. A. Sokołowskiego, nie zapewnią tej luki i książki panów: Feldmana, Studnickiego czy Przybyszewskiego.

A zaś to, co pisali pp. R. Bahr, Belarius, Grabowsky, ks. O. Czartorysky, Alfred Haas, K. Jentsch, W. Massow, E. Miskalek, Kranz czy Weber, jest albo zbyt tendencyjne, albo za bardzo powierzchowne wskutek niedostatecznej znajomości naszych stosunków.

Rzeczą jest tedy konieczną, abyśmy czem prędzej zorganizowali planową akcję informacyjną, bo inaczej — co najmniej — wciskać się będą setki nieścisłości, jak w *La Question polacca* lub wprost fałszów, jak w niedawno wydanym *Kriegstaschenbuchu* Teubnera, gdzie informacja o Polsce kończy się uwagą, że jesteśmy krajem pogromów żydowskich. Co więcej, prof. dr. Schuchart, dyr. muzeum etnograficznego, wyniki swej podróży po Królestwie Polskiem, gdzie badał wykopaliska, odkryte przy budowie rowów strzeleckich, przedstawił w tak nieoczekiwanem świetle w *Amtliche Berichte aus den Königl. Kunstsammlungen*, że doprawdy dłużej uczonym naszym czekać nie podobna.

W celach zaś politycznych należałoby czempredzej zakrzętnąć się, aby w monarchijskiej *Polnische Bibliothek* wydano solidne dzieło zbiorowe, traktujące przeszłość i teraźniejszość Polski w różnych jej przejawach, jako to życie polityczne i gospodarcze, stosunki geologiczno-geograficzne, ludnościowe, archeologię i antropologię obszaru polskiego, rozwój myśli politycznej, filozoficzno-religijnej, rozwój artystyczny etc. etc. Dzieło bowiem Cleinowa (*Die Zukunft Polens*) jest niezupełne i pisane ze stanowiska niemieckiego, praca zaś pochodzącego z Księstwa dr. Guttrego (*Die Polen u. der Weltkrieg. Ihre politische u. Wirtschaftl. Entwick. in Russland, Preussen u. Oesterreich* Monachium 1915), acz pożyteczna, nie rozwija jednak sprawy całkowicie. Jak zaś bardzo potrzebne jest ześrodkowanie odpowiedniej akcji w naszych rękach, świadczy niedawno wydana obszerna rozprawa inż. L. Fiedlera, acz ciekawa, jednak *bona fide* pisana z punktu widzenia interesów niemieckich i przytem, choć oparta na źródłach polskich, nie wolna od błędów.

Pozatem musimy zdobyć dla siebie miejsce w różnych popularnych i poczynnych wydawnictwach, jak *Der Deutsche Krieg*, *Staatsbuerger Bibliothek*, *Zeitspiegel*, *Weltkultur* u. *Weltpolitik*, zarówno w socjalistycznych tanich wydawni-

ctwach *Vorwärts'u*, jak i w konserwatywnych broszurkach, które wypuszcza w świat *Rhein-Mainischen Verband f. Volkssbildung*. Pamiętać trzeba także, że znana firma E. Diederichsa w Jenie wydaje *Staatsbuergerliche Flugschriften*, *Tatflugschriften* i *Politisches Leben*, gdzie możnaby różne strony życia polskiego poruszyć.

Aczkolwiek w III-im za r. ub. zeszyt *Archivs f. Sozialwissenschaft u. Sozialpolitik* p. Zofia Daszyńska-Golińska zamieściła studium o gospodarce i politycznej sytuacji Polski podczas wybuchu wojny, to jednak warto zapewnić sobie miejsce i nadal, drukując stale w owym peryodyku celowo obmyślane artykuły. Nie wystarcza wszelako, że sierpniowy numer poważnego miesięcznika lipskiego *Der Panther* poświęcono sprawie polskiej. Dobrze się stało, że głos tam zabrali polacy: prof. Jaworski, poseł K. Angerman, L. Wasilewski, dr. Zofia Daszyńska-Golińska i p. W. Feldman, informując o różnych objawach życia Polski.

Atoli zdobyć należy dla sprawy polskiej jaknajwięcej wszelakich publikacji niemieckich.

W Niemczech bowiem dużo się drukuje i dużo również się czytuje.

Firma F. J. Perthes w Gotha zapowiedziała w wydawnictwie *Kleine Laender u. Voelkerkunde* monografię i o Polsce. Aczkolwiek powierzono ją pióru historyka Ziviera, który w czasie już wojny obecnej napisał o pewnym okresie średniowiecza Polski rzecz źródłową, to jednak należałoby porozumieć się póki czas z samem wydawnictwem, aby znów nie zrobiono z nas jakichś ludożerców metodą à la Teubner. Ze wszech miar warto także postarać się, aby zdobyć dla spraw polskich czasopiśma, poświęcające całe zeszyty jakiejś kwestyi. Więc: *Sueddeutsche Monatshefte*, *das Groessere Deutschland* (antyangielskie) a także *Deutsche Politik* (antyrosyjskie) i *Europaische Staats u. Wirtschaft-Zeitung* powinny mieć referentów spraw polskich.

Specyalne zeszyty tych wydawnictw poświęcone są Belgii, Chinom lub Paragwayowi, żydom i ukraińcom, ba, o znaczeniu ogólnoswiatowym Galicyi pisują tam rusini, informując publiczność czytającą po niemiecku ze swego, oczywiście, nie zawsze dla nas przyjaznego, stanowiska.

Ponieważ socjaliści są poważnym czynnikiem w życiu politycznem Niemiec i Austrii, musimy zdobyć możliwość stałego referowania spraw polskich na łamach jeśli już nie dzienników to czasopism socjalistycznych zarówno austriackich, jak i niemieckich. Różne bowiem notatki, ukazujące się w prasie niemieckiej, są niekiedy tak niemilosiernie przekręcane, począwszy od nazwiska, a skończywszy na meritum sprawy, że powinno to nas skłonić do ujęcia owego dzieła informacyjnego, o ile można, w swoje ręce.

Należy następnie zorganizować akcję informacyjną na Węgrzech. Hiszpanie,

włosi wydają o sobie książki po niemiecku, francusku, co czynią również i rosyjanie (np. *Russen ueber Russland* pod red. Mielnika), i węgry również nie zaniedbali informować o swych sprawach publiczności angielskiej, wydając przed wojną *Hungary of To-Day* w edycji Percy Aldena a przy współpracownictwie zarówno socjalistów (np. de Vargha), jak i mężów stanu (Fr. Kossuth, Wekerle i t. d.).

Zainteresowanie węgrom znalazło, jeśli pominiemy artykuły, wyraz w książce dra Arpada Boróky, traktującej o nowym państwie polskiem. Historyk dr. H. Marczaly wydał również rozprawę francuską, w której dowodził konieczność odrębności Polski.

Ponieważ istnieje pewien żywszy prąd sympatii, wynikający z pobudek wzajemnego między Węgrami a Polską interesu — więc, korzystając z tego, przedłożmy węgrom w ich ojczystym języku o Polsce wiadomości. Polacy, znający język węgierski, znajdują się zapewne, a nawet więcej, są i tacy, co ułatwią odpowiednią działalność znajomością stosunków.

W Sofii działa i dobrze się rozwija polskie biuro prasowe N. K. N. Pod żadnym pozorem nie należy poniechać rozwinięcia odpowiedniego ruchu informacyjnego i w Turcyi, aczkolwiek tam trzeba powiadamiać sfery, zwłaszcza wojskowe i polityczne, a nie zawadzi i handlowe. W Konstantynopolu „Komitet Młodo-turecki“ wydał broszurę turecką o Polsce zaznajamiającą z kwestyą polską, krajem i narodem.

Kraje skandynawskie, jak Dania, są obecnie centralną stacyą informacyjną. Co więcej, jest to kuźnia wszelkich wiadomości. Zorganizowanie tam odpowiednich i aktywnych biur informacyjnych jest konieczne.

Energiczny i konsekwentny ruch informacyjny wpływający zarazem na prasę obcą jest niezbędny, bo „działalność wśród narodów obcych jest bardzo wdzięczna i bardzo wiele zrobić można“. Praca trudna, ale jaknajbardziej potrzebna.

Powstałe niedawno biuro prasowe przy Radzie Stanu będzie niechybnie promieniować tam, gdzie okaże się to możliwe i — potrzebne.

Skończą się te, o których pisał już Kalinka, skargi na Zachód, ale wtedy, kiedy weźmiemy się do pracy.

Wł. Wolert.

